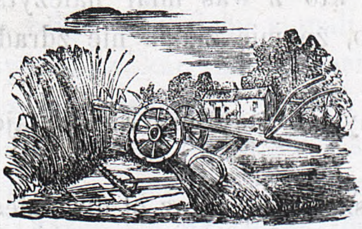
Tom III. 21. Maja 1871. Nr. 15.

Rok dwunasty.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Co Maciek z Niemcami dokazywał.

(Dokończenie).

Skoro gospodarz odszedł, wnet się wszyscy ze śmiechu opamiętali. Bardzo im to markotno było, że człowiek, którego pierwszy raz w życiu widzą, takie z nich stroi żarty i kpiny. Przystąpili do Maciusia, i nuż mu robić gorżkie wyrzuty, a nawet pogróżki.

Ale Maciuś nie dał się przestraszyć. Popatrzył groźnie po Niemcach, i z całego gardła huknął:

— A cóż to wy sobie myślicie! Zamiast mię przyjąć, wypędzaliście mię z karczmy, zamiast częstować mię, wy się odgrażacie? Czyż nie powiedziałem żem filozof, tak, ja jestem wielki czarownik, jak tylko słowo powiem, a całą waszą karczmę z wami razem djabli porwą i zaniesą do piekła. Strzeżcie się, powiadam wam.

Niemcy przestraszyli się nie na żarty, i poczęli przepraszać Maciusia. Maciuś się udobruchał pozornie, ale wciąż myślał, jakiego im jeszcze figla wyciąć. Udał zupełnie zgodę, a gdy przed nim szklankę z piwem postawili, odezwał się:

— No tak, to ale, to rozumiem. Za grzeczność należy się grzeczność. Otóż wam teraz powiem, po co tu do waszej wsi

przyszedłem. Rzecz to bardzo ważna, a korzyść dla was niemała będzie, byle kto z was miał należytą odwagę. Tylko proszę was o słowo, że mię żaden nie zdradzi, a także proszę o pomoc.

Niemcy ponamyślali się, przyrzekli tajemnicę, a Maciuś tak prawić począł:

— Tu we waszej wsi, zaraz ot dwadzieścia jeden kroków za tyłem tej karczmy jest wielki skarb zakopany...

Niemcy nastawili uszy.

— Ale, — prawił Maciuś — nie tak łatwo dobrać się do tego skarbu. Trza na to pochmurnej nocy jak naprzykład dzisiejsza, a przytem nielada odwagi. Bo tego skarbu nieczysta siła strzeże. Trza całkiem cichutko o samej północy podkraść się, i cichutko kopać, aż się do skrzyni pełnej złota dobierze. Nadewszystko trza się cicho sprawować, bo gdyby tylko zły duch co posłyszał, zaraz robocie całej przeszkodzi, a nawet złego narobić gotów. Dlatego mówię wam, trza uważnie to robić, bo gdyby nawet kot tylko na dachu się odezwał, albo kogut tylko gdzie zapiał, zaraz zły duch co skarbu strzeże, obudzi się i gotów wszystkich żywcem do piekła porwać. Miałem ze sobą towarzysza, ale ten zląkł się w końcu, i nie chciał iść ze mną. Będę musiał szukać innych ludzi.

Na te słowa Niemcy poczęli cicho między sobą się naradzać. Bali się złego ducha, ale żądza złota, przemogła tę obawę. Aż sześciu Niemców podniosło się i rzekło, że bądź co bądź pójdą po skarb.

— Ha, doskonale — odparł Maciuś — chociaż to prawda, że z sześcioma aż dzielić się, to niby trochę za nadto, ale lepiej coś, jak nic. Więc czekajmy do pół nocy, a potem pójdziemy na robotę. Jedno tylko dodam, że gdyby przypadkiem pies, kot, kogut albo inne stworzenie się ozwało, to natychmiast trza się plackiem kłaść na ziemię, i milczkiem na czworakach do karczmy uciekać, bo wtenczas nieporadna to godzina. Gotów zły duch wszystkim sadła zalać za skórę.

Niemcy niedali się przestraszyć. Siedzą, piją piwo, Maciusiowi nalali, i czekają północy...

Wtem bije północ. Maciuś przypomniał zalecone reguły, kazał wszystkim rozebrać się do koszuli, aby im lżej było do roboty, kazał buty zdjąć, aby cicho stąpali, wreszcie rozkazał wziąść łopaty, a światło w karczmie pogasić.

Zrobili Niemcy jak przykazał. Zgasili światło, i suną po ciemku za Maciusiem, który wziął z sobą kota z karczmy, ale tak, że nikt nie widział. Stanęli w tyle karczmy. Maciuś ustawił ich szeregiem, kazał się wziąść za ręce. Sam stanął na lewym rogu, naprzeciw kładki, która przez kałużę za karczmą prowadziła. Wymówił znowu jakieś łacińskie słowa, i kazał powoli iść wszystkim w jednym szeregu. Idą wszyscy — leżą w kałużę, ale wciąż walą naprzód, a Maciuś wlazł na kładkę i tylko kroki rachuje. Rachuje Maciuś: jeden, dwa, trzy itd. aż do dwadzieścia jeden, w tem szepnął wszystkim po cichu, aby stanęli. Niemcy stoją i czekają. Wokoło noc ciemna, że choć oko wykol. Maciuś chwycił silnie kota za ogon, zakręcił, aż kot na głos huknął: miau! miau!

Niemcy struchleli i podług przepisu plackiem padli w kałużę. Jaki taki odrzeka się już skarbu, i przekliną tą kąpiel nocną w śmierdzącej kałuży. Ale co się który podnieść albo ruszyć chce, zaraz Maciuś kota za ogon ciągnie, kot miauczy a Niemcy cicho leżą w ogromnym strachu.

Wreszcie schylił się Maciuś i szepcze: oj, licho z nami czekajmy już tak do rana, nie ruszajmy się, żeby się nam co gorszego nie stało. Niemcy kłapią zębami ze strachu, i leżą w błocie. Tymczasem Maciuś po cichutku wymyka się, siada pod karczmą i śmieje się z durnych Niemców.

Wnet mu inna myśl przyszła do głowy. Wchodzi do środka karczmy, woła gospodarza i pozostałych aby szli w pomoc tamtym. Niechcieli z razu, ale że to już świt niedaleko wnet się opamiętali, wzniecili światło i idą patrzeć za karczmę. Patrzą, aż tu Niemczyska tylko w koszulach leżą w kałuży. Znowu śmiech z początku, ale potem odgróżki i przekleństwa. Porwali się wszyscy na Maciusia, śmiech było patrzeć na tych Niemców w koszulach powalanych calusieńko w błocie; ale dla Maciusia nie było tam wiele żartu. Mimo to nie chciał uciekać. Wyjął z zanadrza paszport i ukazuje przytomnym, jako on jest

tudentem ze Lwowa i wraca do swego domu, a zatem żadnym nie jest włóczęgą, i że nie wolno im jego karać. Niemcy nie wiele patrzyli na paszport, ale gdy Maciuś podniósł swoją sękatą laskę do góry, wnet też dali spokój.

Chciał tedy Maciuś iść już swoją drogą, ale tu mu Niemcy nie dają. Jeden do drugiego szwargocze, że taki trza go przynajmniej odwieść do miasteczka, i przystawić do sądu, aby go tam należycie ukarali. Mówi ten i ów, że szkoda zachodu, że na co się na większy śmiech ludzki wystawiać, ale kilku postawiło na swojem, szczególnie gospodarz. Ten prawi:

— Wszakci i tak jarmark dziś będzie w miasteczku a ja pojechać muszę, więc niech się was ze dwóch przysiędzie na moim wozie, w środek weźmiemy tego panicza, i tak zawieziemy go do sądu.

— Zgoda — odpowiedzieli przytomni. — Rzeczywiście kilku z nich miało interes do miasteczka, to też radzi byli, że się przejadą na wózku gospodarza, a przytem naszego studenta oskarżą i sądowi oddadzą.

Ale najbardziej zadowolonym ze wszystkich był nasz student. Właśnie mu droga dalsza wypadała na miasteczko, bo wioska jego rodzinna tuż przed samem miasteczkiem na jakie ćwierć mili leżała. Uradowało go, że nietylko sobie figlów nabroił ile mu się żywnie podobało, ale nadto nie będzie potrzebował kilka mil piechotą dalej iść, tylko Niemcy go za darmo odwiozą. A co tam w sądzie będzie, pomyślał sobie, to już mniejsza rzecz. Jakoś damy sobie radę.

Niepokazywał tedy nic po sobie, nibyto opierał się z początku, ale potem jakby zmuszony koniecznością, wsiadł na wóz między dwoma Niemcami i pojechał.

Z początku szła droga jako taka. Gospodarz raźno poganiał koniki, a Niemcy wszyscy, bo aż trzech ich się przysiadło, milczeli uparcie. Niechcieli nawet gadać z Maciusiem. Ale to nasz Maciuś nie lada sztuka; jak zaczął mówić, a przygadywać, to i Niemcom języki się rozwiązały. Poczęli wszyscy mówić, i jakoś nie źle im szło w pogadance. Mało co byliby zapomnieli, że oni Maciusia do sądu wiezą, i tam go mają oskarżyć. Ale nasz Maciuś, zuch nad zuchy, ani pomyśli o są-

dzie, i wciąż to poważnie z Niemcami gada, to znów z nich kpinki stroi. Nagadał im o gospodarstwie, o uprawie lnu, aż Niemcy radzi, że takiego uczonego mają między sobą; to wnet znowu poczyna o polowaniu rozpowiadać. Mówi jak to ludzie różnych używają sposobów na zwierzęta, jak się sidła zastawia na ptaki, jak się lisy z jam wykurza, jak można wilków w połapki zwabiać. W końcu pocieszne opowiada historje o różnych polowaniach.

— Ale nikt by nie uwierzył — powiada Maciuś — co to się stało w jednym kraju. Był to dziwny kraj. Jak najstarsi ludzie tam zapamiętali, nikt na żywe oczy niedźwiedzia ani wilka nie widział. Słych tylko chodził o drapieżnych zwierzętach, co po innych krajach ludziom i bydlętom dokuczają. Znali tam ludziska tylko owce, konie, woły, psy i inne domowe zwierzęta. Żyli spokojnie, i ani myśleli o zwierzętach drapieżnych. Wtem jednego dnia przylatuje gajowy z wielkim strachem do wsi, i rozpowiada, że pod miedzą blisko lasu ujrzał straszne zwierzę z długiemi uszami. Wszyscy postraszyli się mocno, bali się aby to zwierze na ich chaty nie napadło. Wysyłają dwóch najodważniejszych młodzieńców, ci idą, oglądają i opowiadają dziwy niesłychane. Mówią że tam pod drzewem spi straszne zwierzę, wprawdzie nie wielkie, ale zawsze nie ma z niem co żartować. Gotowe wszystkich pokąsać. Wnet też mieszkańcy tego kraju uradzili, że trzeba bądź co bądź to zwierzę zabić. Uzbroili się wszyscy, jeden porwał siekierę, drugi młot, trzeci starą strzelbę; czwarty drąga porządnego uchwycił, inny kociubę, ot co komu pod rękę wpadło. Idą poważnie a powoli i zbliżają się do legowiska tego strasznego zwierzęcia. Zwierzę to nic innego nie było, jeno poczciwy zając, który podjadłszy sobie, zasnął na miedzy pod drzewem. Usłyszawszy kroki przychodniów zając zerwał się i uciekł w las co żywo.

— A cóż to za głupi naród — rzekli Niemcy — co zająca nawet nie zna; aż to byli tchórze!... jakiż to naród, powiedźcie panie studencie?

— Ha! to byli Niemcy, a może i wasi ojcowie... — odrzekł Maciuś!

Niemcom nie w smak ta odpowiedź. Zgrzytnęli zębami ze złości ale milczą.

Popatrzył Maciuś po Niemcach, zobaczył, że tą powiastką jeszcze gorzej ich pogniewał. Myśli sobie: możem też im za grubo nagadał i nawyśmiewał z nich; — choć to w sądzie trudno by mi co zrobili, ale trza zawsze zawczasu pomyśleć o sobie. Myśli tedy i myśli Maciuś, w końcu zaśmiał się na głos. Przypomniał sobie powiastkę, co to ją przed kilku laty w Dzwonku czytał. Postanowił sobie, tak samo zrobić, jak tam było opisane. Sięga tedy do węzełka i wyjmuje flaszeczkę z kroplami od bolu zębów, udaje że krople zażywa. Niemcy popatrzyli i pytają co to takiego.

— Ot nic — rzecze Maciuś — zwyczajnie to lekarstwo.

— A od czego — pytają Niemcy.

— Ot długo by było o tem gadać. Zwyczajnie lekarstwo i kwita. Rzekł i popił znowu z flaszeczki.

— Ależ — rzekli znowu Niemcy ciekawi, od czegoż to lekarstwo?

— No, jeźli już tak chcecie, to wam i powiem, choć dawna to historja:

Przed dziewięciu laty miałem wypadek. Pies wściekły pokąsał mię.

Niemcy rzucili się na siedzeniach ale Maciuś jak by tego nie uważał ciągnął dalej.

— Otóż pies wściekły mię pokąsał, ale dobry lekarz mię wyleczył z ran. Dał mi tylko to lekarstwo, abym co roku o tym czasie, kiedy mię pies pokąsał, zażywał lekarstwa. Powiedział wyraźnie, że gdy w dziewiątym roku po ukąszeniu będę zdrów, to już zupełnie nie mam się czego bać. Dlatego też teraz zażywam to lekarstwo, bo dziś właśnie dziewięć lat temu. Ot śmiejcie się razem ze mną, nic mi już nie będzie.

Niemcy zaczęli się niby to śmiać, ale nie od serca im szedł śmiech. Co chwila spoglądali na Maciusia, ale ten siedział spokojnie i fajkę palił. Ujechali jeszcze pół mili. Wtem Maciuś rzuca się na siedzeniu, przewraca oczy, i stęka. Niemcy krzyczą na głos: co panu?

Maciuś dobył flaszeczki, popił trochę i znów spokojnie siedzi. Odpowiada Niemcom, że mu się tak trochę niedobrze zrobiło ale już przeszło. Niebardzo się tem Niemcy uspokoili, ale jadą i koniki coraz bardziej napędzają. Maciuś wciąż tylko popija swoje lekarstwo, a czasem stęknie, to znowu zębami zgrzytnie. Niemcom aż strach przechodzi przez skórę, siedzą jak na żarzących węglach. Do tego Maciuś jakby nigdy nic opowiada im o różnych ludziach pokąsanych przez wściekłych psów, o ich napadach, i coraz większego strachu Niemcom napędza. Opowiada, że najgorzej, jak taki człowiek wody się zacznie bać, to już pewny znak wścieklizny.

Jadą, wtem ujrzeli zdaleka miasteczko, duch wstąpił w Niemców. Ujechali kawał drogi i już są przed samem miasteczkiem. Przed miasteczkiem była wiosko rodzinna Maciusia, dalej za nią mała rzeczka i zaraz za rzeczką poczynało się miasteczko. Otóż w skutek deszczu rzeczka wezbrała i wystąpiła trochę, tak że się nielada porobiły kałuże pełne wody i błota. Skoro tylko nad rzekę wjechali, nasz Maciuś począł się strasznie trząść i zgrzytać zębami. Niemcom mało co dusza nie wyskoczy, taki strach mają. Aż tu wjechali w największą kałużę, Maciuś się rzucił na siedzeniu i huknął z całego gardła jak pies: hau! hau!

Na ten krzyk już Niemców niebyło na wozie, zeskoczyli przerażeni i wpadli w uczciwe błoto. Maciuś coraz głośniej ujada, niby pies, a Niemcy przez błoto w nogi. Gonią i uciekają, błoto chlapie i bryzga, a Maciuś wciąż szczeka i ujada. Wreszcie począł się śmiać, zadowolony ze swego figla chwycił lejce od koni i prosto jedzie do miasteczka. Zajechał do pierwszej karczmy, konie powierzył karczmarzowi, a sam napisał kredą na drzwiach karczmy: „Macie nauczkę! pamiętajcie teraz na drugi raz być gościnnymi a biednych podróżnych za drzwi nie wyrzucajcie.“

Napisał to, pokazał karczmarzowi, i nakazał mu, aby gdy Niemcy przyjdą po swoje konie, wprzód im to pismo pokazał, a potem dopiero konie im oddał. Sam zaś poszedł piechotą do swojej wioski rodzinnej, gdzie go ojciec z upragnieniem ocze-

kiwał. Tu rozpowiedział całą historyę swojej podróży, z czego niemało było śmiechu w gromadzie.

Niemcy widzieli, jak Maciuś ich końmi do miasteczka pomyka, widzieli z daleka, że do karczmy zajechał, ale nie mieli odwagi gonić za nim. Dopiero po dobrej godzinie przyszli do karczmy, a tu na swój wstyd wyczytali napis na drzwiach. Spojrzeli po sobie, powstydzili się, ale w końcu przecie rzekli, że się nie gniewają, bo miał słuszność. Jak byli, tak wszyscy sobie przyrzekli, na drugi raz być lepszymi i gościnniejszymi. Rozpytali się o Maciusia, zkąd on i kto, i posłali mu ładny list z przeproszeniem, a oraz że do niego urazy nie mają. Prosili go, aby ich kiedy odwiedził, a oni go pewnie lepiej przyjmą niż ostatnią razą.

Maciuś chodził jeszcze potem do szkół, wreszcie ukończył nauki. Został porządnym co się zowie adwokatem w sąsiedniem miasteczku i starego ojca zabrał do siebie. Żyje on dotąd, sprawy i procesa ludzkie prowadzi sumiennie a uczciwie, to też wszyscy go błogosławią. Właśnie dowcip jego doskonale mu służy do prowadzenia interesów. Wieśniacy go kochają jako swego i z całem zaufaniem jemu swe sprawy powierzają a nie idą do nieuczonych pisarzów, bo wiedzą że Maciuś człowiek uczciwy a przytem uczony. Sprawę poprowadzi w sądzie co się zowie, a nie zdziera za to. Sami Niemcy do nikogo tylko do niego się udają, a on im zawsze stare figle przypomina.

Stach ze Lwowa.

Wełna i bawełna.

— Powiedzcie mi też Wojciechu, wy co tyle mądrych książek czytacie, czemu to teraz sukna takie liche? Ledwo człowiek trochę ponosi, i to od święta, a już ci się zaraz wytrze tu i owdzie, i gdyby się nie uważało, to wnetby można dziurami świecić na łokciach. Tak pytał gospodarz Adam Skowronek swego sąsiada, gdy się rozgadali w Niedzielę po drodze z kościoła.

— Także pytacie — odpowiedział Wojciech Stokłosik — ot ludzie chcą wszystko tanio mieć, to też ci co sukna robią, kręcą jak mogą byle sukno taniej mogli sprzedać.

— Ba dobrze — przerwał mu Adam — cóżby tak znów mogli kręcić, ot sukno z wełny muszą robić, a czy tam wełna taka czy inna zawszeć ona trwała. Ot kapota, co mi po ojcu została, dotąd jeszcze dobra; i ja nosiłem ją długo, i na syna kazałem ją skroić a przerobić, i jeszcze dziur nie ma. Coś tam inna musi być temu przyczyna.

— Ależ nie inna tylko ta, którą powiedziałem, odpowie Wojciech. Przerwaliście mi w mowie, to i nie dokończyłem Otóż ludzie chcą mieć tanio sukno, a fabrykanci muszą go tanio dostarczyć. A więc robią to sukno rzadszem, dają mniej wełny, a do tego jeszcze mięszają bawełnę. Bawełna jest znacznie tańsza, ale też zato i mniej trwała.



Lama.

— Jakaż bo też różnica między wełną, a bawełną? — zapyta Adam. Wciąż słyszę jak ludzie o tem mówią a właściwie dobrze nie wiem. Możebyście mnie o tem oświecili, jeśli łaska.

— Najchętniej, tylko że trochę musiałbym więcej mówić, a to staremu i trudno w taki upał jak dziś dużo mówić. Ot zajrzę do was wieczorem, gdy pochłodnieje, do waszej chaty,

siądziemy sobie, i wam rozpowiem. A może też wasza i dziatki posłuchają, bo zawsze to ciekawe.

— A kiedy tak, to bardzo was proszę. Dawnoboście u mnie nie byli, mieszkacie aż na końcu wioski, i chyba tylko w Niedzielę ta święto was ujrzeć, bo jużto w karczmie was ani szukać. A ja was chętnie słucham, i rad u siebie widzę. Znajdzie się i kubek piwa, i fajeczkę będzie czem nałożyć, a za to nam opowiecie.

— Bóg wam zapłać. Chętnie wam lubię opowiadać, bo umiecie słuchać uważnie, a kufel piwa staremu nie zaszkodzi. Wódki nie pijam, jak wiecie, ale szklanką dobrego piwa nie wzgardzę w Niedzielę, alboteż i po pracy na posiłek.

— Przyjdźcie tylko niezawodnie, będziemy was oczekiwali.

Rozeszli się gospodarze każdy w swoją stronę. Wieczorem stawił się w słowie Wojciech. Przyszedł, pochwalił pana Boga, i począł gawędzić. Obejrzał koniki, które Adam kupił na ostatnim targu w miasteczku, obejrzał całe obejście, do ogródka zajrzał, cieszyło go że wszędzie porządek i dostatek. Tymczasem żona Adama zastawiła stół przed chatą pod drzewami. Przekryła stół cienkim obrusem, postawiła misę ziemniaków, białego chleba bochen, masła osełkę, sól i spory dzban piwa z sąsiedniego browaru.

Wojciech z Adamem wrócili tymczasem, i zaproszeni przez hożą gosposię, żonę Adama, zasiedli do wieczerzy. Wojciech pięknym naszym polskim zwyczajem przeżegnał siebie i dary boże, poczem wszyscy ochoczo poczęli zajadać. Gdy się posilili, zapalił Wojciech fajeczkę, upił trochę piwa z kubka, który mu Adam podstawił, i począł mówić, a obecni słuchali z uwagą.

— Pytaliście mnie Adamie o różnicę między wełną a bawełną — prawi Wojciech — otóż co wiem, to wam opowiem. Wełna pochodzi z owiec i innych owcom podobnych zwierząt, bawełna zaś z roślin. Jak wszystko co ze zwierząt pochodzi, tak i wełna znacznie jest mocniejszą i trwalszą od rzeczy, które z roślin otrzymujemy. Łatwiej pielęgnować roślinę, niż owcę chodować, którą trza żywić i karmić, przeto droższą jest wełna z zwierząt od bawełny. Naprzód wam pokrótce opowiem

o wełnie samej. Wiecie że z owiec pochodzi. Otóż od bardzo dawnych już czasów wpadli ludzie na myśl aby owce chodować, postrzygać ich włos, i z tego włosu czyli wełny wyrabiać różne przedmioty do odzienia służące. Mało gdzie jaki kąt na ziemi gdzieby ludzie owiec nie chodowali. Wszędzie, w gorących i zimnych krajach są owce, chociaż różne od siebie przezto, że w innych krajach żyją i odmiennem posilają się pożywieniem. Jedne dają mniej, drugie więcej wełny; jednych gruba i ostra, drugich cienka i miękka jak jedwab. Najlepszą wełnę dają owce w kraju zwanym Hiszpanią. Tam owce zupełnie wolno żyją, i same sobie pokarm na górach znajdują, nie potrzebują żadnej owczarni, ani ciepłych stajen na zimę. Owce tamtejsze zowią Merynosami; do nas często bywają sprowadzane na rozpłodek, aby gatunek naszych owiec przez mięszanie z tamtemi poprawić. Ale nie dość tego mięszania różnych gatunków owiec, trza nadto, aby owczarz znał się na stosownej paszy, na chorobach owiec i ich leczeniu, żeby wiedział, kiedy i jak najlepiej postrzygać, bo od tego zależy dobroć i ilość zestrzyżonej wełny. Dobra owca przy należytem obchodzeniu się i dobrej paszy daje siedm do ośmiu funtów wełny, ale kto sobie źle i niedbale postępuje, ten ledwie dwa funty uzyska!

Tu Wojciech poprawił ogień we fajeczce, i dalej prawił:

U nas zazwyczaj w maju owce strzyżą. Owóż należy naprzód owce doskonale w umyślnych sadzawkach albo stawach umyć, potem ususzyć i strzedz. Dalej rozdziela się wełnę na dobrą i na gorszą, a potem pakuje do worów wielkich i posyła przez kupców do fabryk sukna. We fabrykach w jednych wełnę przędzą, w drugich uprzędzoną wełnę na sukno tkają. Przed wszystkiem we fabryce wełnę mydlą i parzą, a to d atego aby z niej wyprać tłustość naturalną. Gdy już sukno zdejmą z warsztatu, wtedy je oczyszczają ze supłów, jako że bardzo jest kosmate i nierówne, poczem je pluczą i farbują, jeśli tego po trzeba, w końcu postrzygują i prasują aby było gładkiem i ładnie wyglądało. W taki sposób robią piękne i drogie sukna, także pośledniejsze, następnie baje i koce, flanelę, dywany itp. Nasi też ludzie po wsiach umieją tkać na warstatach albo bić

grube sieraki, a to z wełny owiec najpośledniejszych, jako najtańszej.

Lecz i z innych zwierząt owcom podobnych robią różne materye. Różne gatunki kóz, chodowanych w Azyi mają do wełny podobny włos, często nawet daleko miększy i jedwabisty. Z takiej wełny tkają bardzo piękne ale też i drogie wyroby, jak np. szale zwane kaszemirskiemi. W Ameryce są zwierzęta podobne nieco do naszych owiec, zwące się lamy, których włos miękki do wyrobienia różnej przyodziewy służy.

Tu wyciągnął Wojciech książkę z różnymi ciekawymi obrazkami, i pokazał rysunek lamy, podobniusieńki temu, który dla naszych czytelników załączamy. Wszyscy oglądali obrazek, a Wojciech prawił dalej:

— Lama nie ma ani garbu, ani rogów. Główkę ma kształtną i ściągłą, na niej uszy długie i stojące, oczka wesoluchne, szyja długa i wdzięcznie wygięta, a zamiast sierci miękkie, wełniste runo. Wielkością dochodzi lama naszego jelenia. Żyje stadami po górach jako zwierzę domowe, gdyż od dawnych już czasów Amerykanie ją oswoili. Chowają ją Amerykanie troskliwie, bo wielki z niej mają pożytek. Prócz skóry i mięsa, mają z lamy wełnę i doskonałe mleko, a nadto używają jej do noszenia mniejszych ciężarów po górach. Podobnie jak nasze bydło, bywa lama różnej maści, najpospoliciej atoli bywa koloru śniadego. Spokojne to i miłe zwierzę, a nadewszystko nader pożyteczne dla ludzi.

Tak więc przemysł ludzki potrafił z wełny zwierząt użytkować i trwałe robić sukna i materye, tak też potrafił i z włókna roślin korzystać, potrafił wydobyć z lnu płótno, z konopi wysnuć przędziwo, z innych znowu roślin bawełnę.

Tu spoczął na chwilę Wojciech, a później rozprawiał o bawełnie, o czem w następnym numerze opowiemy. (D. n.)

MIŁOŚC SŁONECZNA
(Sielanka Krakowska.)

I.

Wschodzi słonko nad Krakowem,
Przegląda się w Wiśle,
Tobie Zosiu nie jest nowem,
Co czuję i myślę.
Ale ufam w serce twoje,
Chociem nie bogaty..
Tylko matki twej się boję,
Czy przyjmie me swaty?

Wiesz, że nie mam swojej woli,
Kochany mój Stachu!
I mnie dawno główka boli,
Ze smutku i strachu...
Lecz choć serce swej miłości,
Oko łez się tai,
Matuleńka bez litości,
Innego mi rai.

Może darmo siebie straszę,
I ciebie — ma droga!
Jeszcze przyszłe szczęście nasze,
W świętej woli Boga.
Bądźmy dzisiaj na niesporze,
Pomódlmy się szczerze.
Ja przed matką się ukorzę
I czołem uderzę.

II.

Zaszło słonko nad Krakowem,
W Wiśle nie przebłyska,
Nie wymówi serce słowem
Jaki ból go ściska.
Nie czekałaś mnie troszeczka,
Za innegoś poszła;
Oj widać, że mnie dzieweczka
Jeszcze niewyrosła

Nie czekałam, bo musiałam,
Kazała mateńka;
Lecz Bóg świadkiem, jak kochałam
Mojego Stasieńka.
Znać w tem Boska była wola,
Któż się jej sprzeciwi?
Choć nie wspólna nasza dola,
Bóg nas uszczęśliwi.

Jak wierzyłem, tak ci wierzę,
Gołąbeczko biedna!
Bom cię zawsze kochał szczerze,
Tyś mi była jedna!
Znać w tem Boska wola była,
Walczyć nadaremno.
Obyś z drugiem szczęśnie żyła,
Gdy nie mogłaś ze mną!

III.

Świeci słonko nad Krakowem,
Świeci Wisła cała.
A witajcie szczerem słowem,
I Bogu bądź chwała!
Czyście zdrowi, czy weseli,
I jak dziatwa wasza?
Moja Kachna, przy niedzieli,
Wszystkich was zaprasza.

Witajcie nam w naszej chacie
Kochany sąsiedzie!
Dzięki, że nas pamiętacie,
I w szczęściu i w biedzie.
Pojedziemy — lecz postawcie
Koniki przy żłobie,
Chwilkę z nami tu zabawcie,
I spocznijcie sobie.

Stach zasiadł z mężem Zosi
Do stoła przy dzbanie,
Zosia na prędce przynosi,
Z alkierza śniadanie.
I ci, co się nie pobrali,
Znać przez sąd niebieski,
Przyjaciółmi pozostali,
Do grobowej deski...

Jan Prusinowski.

Rozmaitości.

Rozwiązanie zagadki umieszczonej w Nr. 14. Towarzystwo składało się ze siedmiu osób, mianowicie: z jednego starca i jego żony, tudzież syna ich, z żoną i trzema dziećmi, z których jedno było chłopczykiem, a dwoje dziewczynkami.

Złote ziarna.

Niechaj cudze cierpienie śmiechu nie wywodzi,
Chcesz-li komu dopomódz, niechaj chęć niezwleka;
Wszakże wiesz, że nieszczęście jedną drogą chodzi,
Co jego dziś spotkało, ciebie jutro czeka.

Choćby winę miała, szanuj sługę starą,
Abyś nie miał nowej z podwójną przywarą.

Dodatek polityczny.

Austrya. Z Wiednia gdzie ciągle jeszcze odbywają się posiedzenia Rady państwa nie ma żadnych ważniejszych nowin. Posłowie z Galicyi układają się z ministrami, aby dla kraju uzyskać różne prawa, ale zdaje się, że i tą razą nic z tych wszystkich zachodów nie będzie, i że Niemcy, którzy się nauczyli wszędzie rozkazywać i panować, jeszcze nie tak prędko przystaną na nasze żądania. Teraz podali posłowie niemieccy w Radzie państwa adres do cesarza, w którym piszą, że niezgadzają się z teraźniejszymi ministrami i życzyliby sobie żeby cesarz innych sobie przybrał. Co cesarz nato odpowie, to jeszcze nie wiedzieć.

Francya. Pisaliśmy wam już w ostatnim numerze jakie to nieszczęścia i klęski spadły na biedną Francyę. Najgorsze z tego wszystkiego jest, że między samymi Francuzami niema zgody. Między mieszkańcami miasta Paryża a rządem zgromadzenia narodowego i jego wojskami przyszło do strasznej krwawej walki. Oj straszna to wojna, gdzie ludzie jednej wiary, jednego narodu, jednej mowy i jednakich obyczajów biją się między sobą. Dobrze to ludzie mówią, że niema gorszej nienawiści jak nienawiść między braćmi. Niech Bóg ochroni każde miasto od tego co się teraz dzieje w Paryżu! Wojska francuskiego zgromadzenia narodowego zdobyły najpierw twierdze koło Paryża, które były w ręku zbuntowanych Paryżan — potem armatami zrobili wyłom w murze, który otacza samo miasto Paryż i weszli do środka.

Marszałek Mac-Mahon dowodzący wojskami zgromadzenia narodowego zawezwał po raz ostatni gwardję paryzką by się poddała. Paryżanie niechcieli się poddać, dalej więc wewnątrz miasta prowadziła się straszliwa walka. Na ulicach między kamienicami na kilka piątr wysokiemi kopano głębokie rowy i sypano wały — na wały zataczano armaty, z dachów, z okien i piwnic nawet strzelano do wchodzącego wojska. Paryżanie bronili się; obie strony biły się z wściekłością. Wojska zgromadzenia narodowego musiały każdy dom, każdą ulicę osobno zdobywać. Podczas tych krwawych walk, od ciągłych strzałów

karabinowych i armatnich i od tych nowo wynalezionych bomb zaczęły się palić różne budynki w mieście. Rozumie się, że o gaszeniu nikt nie myślał, to też płomień ogromne poczynił spustoszenia. Pałac w którym dawniej mieszkał cesarz Napoleon III. z rodziną, zwany Tuilerie, zgorzał do szczętu. Gdzie dawniej stały pyszne mury które w każdym wzbudzały podziwienie, dziś leży tylko kupa dymiących się gruzów. Jakie to tam bogactwa i kosztowności, jakie obrazy, drogie materje i złotogłowia poszły z dymem, to już wam niepotrzebuję opisywać, boć każdy wie, że cesarz francuzki nie mieszkał lada jak, ale miał wszystko, czego tylko dusza zapragnie. Kościół św. Magdaleny i ratusz miastowy także spłonął. Także kościół Matki Najświętszej zwany Notre Dame, Luwr gdzie są kosztowne obrazy, i inne budynki rządowe mocno są od pożaru uszkodzone. Wreszcie mnóstwo domów i pałaców należących do hrabiów i książąt fancuzkich spaliło się do szczętu! Cóż to za straszna klęska i któż zdoła obliczyć te straszliwe szkody jakie przyniosła ta straszliwa wojna domowa. Gazety donosiły nawet że pod pałac luksemburski podłożono proch i wysadzono go w powietrze. Bogu dzięki wiadomość ta niepotwierdziła się i tak został uratowany prześliczny obraz Matki Boskiej włoskiego malarza Rafaela Sanzio, do którego ludzie z całego świata schodzili się, aby go podziwiać. W chwili kiedy to piszemy w Paryżu ciągle się jeszcze biją. Strasznie się tam ludzie rozżarli, nawet umarłym niedają spokoju na jednym z największych cmentarzów Paryża także walczą i z po za kamiennych grobowców strzelają jedni do drugich. Powiadają, że w tych walkach padło już samych Paryżan około 6000, a ze 12 tysięcy wzięły wojska zgromadzenia narodowego do niewoli. Smutne to wiadomości, które wam podajemy, smutno to że dzieci jednej ziemi którzy do niedawna bili się z pruskimi lutrami dziś tak między sobą się mordują — oby jak najprędzej Bóg święty zlitował się nad niemi i powrócił ziemi francuzkiej spokój, którego tak potrzebuje.

Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.
Z drukarni E. Winiarz: we Lwowie.